№ 24.

Warszawa dnia 4 (16) Czerwca r. 1866.

TYGODNIK MÓD I NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

OD REDAKCJI.

Z upływem bieżącego miesiąca kończy się półroczny zapis na Tygodnik Mód, upraszamy przeto Szanownych Prenumeratorów, o wczesne składanie przedpłaty prenumeracyjnéj na drugie półrocze.

Ponieważ kierunek w jakim dotąd redagujemy Tygodnik Mód, tak w części literackiéj jak i dotyczącéj ubiorów, robót ręcznych i domowego zarządu, powszechne zyskał uznanie, trzymać się go więc będziemy w dalszym rozwoju naszéj pracy. Co tylko zatem w pismach francuzkich i niemieckich, przychodzących do naszego kraju znajdziemy praktycznego i pożytecznego, zgodnego z naszym gustem i potrzebami, wszystko to jak dotąd, tak i nadal pomieszczać będziemy w osobnych dodatkach tygodniowych.

Po ukończeniu obecnie drukującéj się powieści *Pamiętnik młodéj mężatki*, rozpoczniemy zaraz druk oryginalnéj powieści pani Pauliny Wilkońskiéj. Urywki z pamiętnika Jana Bugaja iść będą daléj bez przerwy aż do ich ukończenia, potem damy ciekawą podróż po Australji przez jednego z naszych rodaków odbytą. Obok tego mieścić będziemy artykuły czerpane z obcych literatur, kronikę literacką, korrespondencje z Paryża, tygodniowe pogadanki i t.p.

Cena prenumeracyjna pozostaje ta sama.

Ponieważ rozsyłanie po prowincji każdego perjodycznego pisma, nie do Redakcji ale do Poczty należy, w razie zatem nieregularnego odbioru Tygodnika Mód, interesowani raczą zgłaszać się nie tylko do Redakcji, ale i do Zarządu Poczt w Warszawie, co uskutecznia się na papierze prostym bez opłaty portorji.

Przy przesyłaniu pieniędzy na sprawunki lub na prenumeratę, prosiemy o wyraźne wypisywanie nazwiska i ostatniéj Stacji Pocztowéj a nawet Gubernji, bo tylko tym sposobem uniknąć można pomyłek w przesyłce.

URYWKI

SPISANE Z PAMIĘTNIKÓW JANA BUGAJA

Z KOŃCA WIEKU XVII.

(*Dalszy ciąg.*)

III.

KAPLICA W BETLEJEM I FESTYN W KUROWIE,

Na drugi dzień raniutko jeszcze po mroku, rodzic mój pojechał do domu, żeby rozporządzić domem i pospieszyć na objad do pana Wojskiego Godziemby. Przy pożegnaniu był pan Krasuski, bo obiecał zapoznać mnie z dworzanami pana podskarbiego, którzy, jak mówił, cokolwiek byli na mnie zboczeni, że tego zabaczyłem zrobić.

— „Widzisz Janku“ — mówił kapitan — „nie było w tem mądréj polityki. Afront taki afrontem się płaci i podejrzeniem. Mądry Sokrates.... ale prawda, tobie cytowania nie trzeba, bo klasyków miarkując z twego odezwania się o Telemaku znasz jak na dłoni, więc powiem krótko, że cała nasza dwornia zaraz szepnęła, żeś albo pyszałek albo lizusek. Należało zatem przypiec w pierwszym skoku, wystraszyć cię albo wziąść pod kułak. Znalezienie się twoje rozważne, jak mówi Korneljusz.... no, potem o tem zajdźmy do marszałka.“

Kiedyśmy weszli do komnaty przy celce pana Żukowskiego położonéj, już gwaru było dosyć, bo wszyscy dworzanie w niéj się znajdowali zapijając polewkę piwną z grzankami. Kapitan koleją przedstawiał mi każdego wymieniając z nazwiska i godności ojcowskiéj.

— „To Rodkiewicz — mówił — z Klimeckiéj urodzony, z każdéj biedy umie się wykręcić, sianem albo językiem. To Rajkowski zaleca się do mniszéj sutanny i do narożnika z białemi gołąbkami, ale podobno kanonikostwo lepiéj mu się podoba jak mnichostwo. To pan Strzelecki kuty na cztery nogi, to pan Ogrodziński niezmiernie ciekawy do babieńca, to Sajewicz umie patrzeć jednem okiem w prawo, drugiem w lewo, to pan Jaskulski w ogniu kąpany, to pan Cichocki stroi krotochwile jak baba Firleje.....“

W tem miejscu przypadł do kapitana ów pan Cichocki i nagle zwracając go ku mnie, rzekł:

— „A to pan kapitan Krassuski, poczciwa dusza choć starego pieczywa. Teraz kocha się w pannie Barbarze, do panny Jadwigi smali cholewki, do Doroty strzela oczkiem. Pannie Józefie przyśpiewuje a pani Sadkowskiéj całuje paluszek którym odmyka apteczkę. Przy kapitanie Herkules to figa, Cycero nieuk, a żak Korneljusz Nepos. Ale ma serce złote, kolos Rodyjski to mucha przy jego poczciwości. To też go kochamy i szanujemy, i radziemy waszmości iść za nami“. Podziękowałem składnie za rekomendacją, przyrzekłem posłuch a potem powitawszy pana Żukowskiego, chwyciłem się polewki bo mi na wnątrzu wróble strasznie świegoliły.

Po śniadaniu wszyscyśmy poszli do kaplicy zwanéj Betlejem, leżącéj na uboczu i okrytéj jak kopiec darniną. Z murowanéj wieżyczki rozlegał się głos dzwonka z samego Loretu sprowadzonego, po prawéj stronie znajdował się domek pustelnika i od niego w okół szedł niski mur. Ponieważ jeden z barwy dał znać, że pan podskarbi także przybędzie na nabożeństwo, więc zatrzymaliśmy się aby być mu przy wejściu asystą. Nie długo z zamku wysunęła się jakaś gromadka niby stadko gołębi kiedy nisko leci nad ziemią, a kiedy urosła nam w oczach poznałem że to panny respektowe pani podskarbiny, składające fraucymer albo babieniec jak starzy mówili. Zaraz też zabraliśmy się do sztyftowania naszych postaci, ten pokręcił wąsa, ten przyciągnął pasa, ów wyprostował się, a kapitan, jako człowiek światowy, w koperczakach, uśmiechnięty przybliżył się do saméj ochmistrzyni i chyląc nisko czapką rozpoczął z nią rozmowę. Dzieweczki posuwały się za nią niby trusiątka, chwiejąc główkami jak fijołki w trawie. Czasem z pod rzęs błysnęło spojrzenie, ale tak pospieszne że i błyskawica mu niedorównywała. Buziaki rumieniły się, zakwitały różyczkami, a my staliśmy jak na śpilkach, bo każdy z nas radby był tylu urodziwym kwiatuszkom, jeżeli nie szepnąć czego do uszka od serduszka, to choć przypatrzeć się i podziwić.

Wkrótce potem nadszedł pan podskarbi z panem Trzebińskim i Dowborem, co choć na własnych wioskach osiadli, ale najwięcéj przesiadywali w Ossolinie. Kiedyśmy za mur weszli ku kaplicy, dzieweczki uszykowane rzędem klęczały z książeczkami w rękach od nabożeństwa. Pan podskarbi zasiadł w ławce w kaplicy, my stanęliśmy także rzędem, za nami służba dworska i zaraz potem rozpoczęło się nabożeństwo. Pięknie było bardzo prowadzone, dwóch z naszych posługiwało do Mszy, a my za przewództwem pana marszałka razem z fraucymerem, służbą, śpiewaliśmy różne nabożne pieśni. Po nabożeństwie kiedy wysypaliśmy się za mur kapliczny, zaraz za panem podskarbim, ten zwrócił się ku nam i rzekł:

— „Pan Wojski Godziemba żeby dać dowód jakim płonie afektem dla waszmość panów, przygotował na dziś w swoim Kurowie wielki fest, na który zaprosił wszystkich waszmościów. Pospieszę i ja do niego, żeby uczcić szanownego sąsiada jak przynależy, waszmościów więc zwalniam na dziś od służby przy mojéj osobie“.

W godzinę potem strojnie i buńdziucznie wysworowaliśmy się konno na Usarzów i Gołębiów do Kurowa, bo pan kapitan przy téj okazji, choć dalszą drogą ale chciał nawiedzić krewniaka i zabrać go z sobą. W lasku Kurowskim pokrytym samą dębiną i leszczyną, spotkaliśmy się z panem Godziembą na koniu, który tam już od świtu gospodarzył, wyznaczając dęby na wycięcie.

— „Witajcie, witajcie pożądani goście“ — zawołał z daleka poznawszy nas — „zabałamuciłem się troszkę w lesie za długo, i we dworze zastalibyście pustki. Ale choć tu prowadzę kawalerskie życie, pod dachem jednak moim szyk być musi jak wypada, Nastka z Jasiem zaradziliby wszystkiemu. W moim

Kurowie nic nie brakuje.“ I wskazując na przelatujące pomiędzy gałęziami turkawki, dudki, kraski i gile, mówił dalej zwracając się do kapitana.

— „Ot, widzicie chłopcy papugi, ptastwo zamorskie, a jednak gnieździ się w moim lesie jakby w afrykańskich puszczach. Wszak prawda kapitanie, że śliczne papugi?

— „Tak papugi panie Wojski dobr.“— odrzekł kapitan z taką powagą, że choć znałem dobrze to ptastwo, zdało mi się, że na prawdę widzę papugi. Pan Godziemba był to obywatel bardzo zamożny, Kurów choć złote jabłko, ale stanowił tylko połowę jego fortuny w Lubelskiem, w której mieszkał stale, a tu dojeżdżał czasami dla rozporządzenia gospodarstwem. Miał on wielkie poszanowanie, bo choć gorączka, poczciwością był przesiąknięty cały, i zacnością słynną pomiędzy bliskiemi i dalekiemi. Miał jedno tylko do siebie, że zdało mu się iż u niego wszystko jest najlepsze, zboże, woły, konie, grunta, łąki, cały zarząd i gospodarstwo. Szczególniéj lubił woły czarne i te kazał skupować po wszystkich jarmarkach, czy były potrzebne czy niepotrzebne, aby tylko w inne nie dostały się ręce. We wszystkich zaś pochwałach zawsze się do kogoś odwoływał o poświadczenie i do tego dobierał frantów co wiedział, że nie tylko nie zaprzeczą ale dodadzą. Ponieważ to nie przynosiło nikomu żadnéj szkody a nieraz bawiło, więc panu Wojskiemu folgowano i potakiwano.

— „A co młodziaki“— mówił przez drogę pan Godziemba —„czy widzieliście takie dęby? To wszystko okrętowe maszty, wszak prawda panie kapitanie?

— „Ba!“—mruknął kapitan —„dotąd sosny prym miały, ale jak dęby Kurowskie porosły, odrazu zakasowały sosny.“

— „A tak, tak, ot co to mądry człowiek znaczy. A widzieliście takie rżysko, po pszenicy? Słoma jak trzcina, ziarno prawie żołędzi dorównywało, wszak prawda panie kapitanie?“

— „Swięta prawda,“ odrzekł z powagą kapitan— „bo raz nawet widziałem jak wieprze się pomyliły i żarły ją za żołądź.“

— „A co, nie prawda? Ho, ho! w moim Kurowie różne dziwy napotkacie. Patrzajcie jakie woły, czarne jak kruki, czy widzieliście gdzie tyle pługów razem na jednéj niwie?—A teraz chłopcy z kopyta co koń wyskoczy, bo widzę, że na podwórzu jakoś ludno się zrobiło.

Ruszyliśmy więc cwałem jakby w wojennym wyścigu, zaraz też wzbiły się tumany kurzu, wyleciały psy z chałup ze szczekaniem, spłoszone ptastwo zaczęło się rozpierzchać na wszystkie strony i my wpadliśmy na podwórze niby jacy harcownicy.

We dworze zastaliśmy kilku sąsiadów pana Godziemby, był już i rodzic, po prezentacji więc zabraliśmy się do przekąski i wódek, a potem wypadliśmy do ogrodu, i jedni zaczęli się wspinać na drzewa, chcąc pochwalić się ze zręczności, inni strzelali z pistoletów do celu, szermowali z sobą kijami jakby mieczami, skakali przez barjery, ścigali się, a do tego śmiali i chichotali z taką pustotą, że tylko rozlegało się pomiędzy drzewami. Poważniejsi wiekiem przechadzając się, rozprawiali o publicznych sprawach a szczególniéj o dystynkcjach i tytułach zagranicznych, które im były solą w oku. Pan Godziemba dorzucał często i tu i tam jakie słowo, ale najczęściéj zachodził do nas, zachęcając do igraszek co szkody nie niosą a krzepią siły. O pierwszéj z południa zaproszono do stołu, było nas okrągło ośmnaście osób. Traktament nie składał się z midrygansów francuzkich, co opychają a pożytku nie dają, ale za to mieliśmy barszcz z uszami i rosół do wyboru—potem pieczoną kiełbasę, sztukę mięsa z ogórkami i z marynowanemi rydzami, kilka półmisków jarzyn ze skopowiną, łokciowe szczupaki z chrzanem, a w końcu ciele pieczone, jendora i arkas dla ostatniego przysmaku z żółtek, śmietany i cukru przyrządzony. Najadek więc był poczciwy, a że się przejechało konno i dosyć nabaraszkowało, ćwiczyliśmy wszystko z ochotą bez oporu, przygadując sobie rozmaicie i popijając piwem, co go w domu warzyli. Stało także i wino, aleśmy się do niego nie bardzo garnęli, bo nie wypadało i choć który niby przez prędkość wyciągnął rękę do gąsiorka z węgrzynem a nie dzbanka z piwem, to zaraz ją cofał niby zawstydzony. Starzy jednak nie żałowali sobie poczęstunku, nie zbytkowali co prawda bez pomiarkowania, ale jakoś w mówieniu stawali się coraz rezolutniejsi i szczersi w spojrzeniu. Do środka objadu cmokali z kieliszków bardzo delikatnie, potem wniesiono gospodarza zdrowie, jego żony i z konsolacją, i od téj pory szły zdrowia rozmaite, najprzód obecnych pojedynczo, a potem króla, Rzeczypospolitéj, oby nam się dobrze działo i w końcu kochajmy się. Starsi pili samotnie jeden do drugiego i kielich podając przez serwetę, my młodzi gromadą, ale zawsze z baczeniem, żeby głowie nie zrobić przeciążenia, bo starsi niezmiernie tego przestrzegali.

Przy stole siedzieliśmy blizko cztery godziny, mnie aż nogi zabolały od skurczenia, wreszcie zarumotały zydle i ławy, i wszyscy z jadalni przenieśliśmy się do bawialni w któréj na stole zastaliśmy stare butelki z węgrem, może jeszcze od króla Popiela.

(d. c. n.)

Kronika zagraniczna.

MERCADANTE KOMPOZYTOR WŁOSKI
I
JEGO OPERA ELEONORA.

Francja nie może się poszczycić wielkiemi talentami muzycznemi; wszyscy znakomitsi kompozytorowie paryzcy, należeli do narodowości obcych, a szczególniéj naród włoski otrzymał widać missję od Opatrzności, prowadzić w krainę harmonii biednych synów Adama, bo i na polu egzekucji i na polu kompozycji dotychczas przynajmniéj z małemi wyjątkami potrafił utrzymać palmę pierwszeństwa. Jeżeli jednak Paryż nie może się poszczycić rodzimemi talentami muzycznemi, to za to pozyskał on sławę sądu i dobrego gustu i śmiało można powiedzieć, że żaden pisarz, żaden artysta, żaden kompozytor nie pozyska sławy europejskiéj, jeżeli pierwéj nie pozyska sławy na bruku paryzkim.

Francuzi ową samodzielność sądu posuwają niekiedy aż do zuchwalstwa. Najlepszym dowodem

w téj mierze jest Mercadante sławny kompozytor włoski. Nazwisko tego twórcy powtarzane jest we Włoszech z najwyższą czcią. Wszystkie opery Mercadantego przyjęte były we Włoszech z najwyższem uniesieniem i oklaskami, najznakomitsi mistrze harmonji skłonili głowy przed nową gwiazdą, utwory jego ustawicznie przez całe lata przedstawiały teatra włoskie, znawcy upatrywali w nich co raz piękniejsze zalety.

Do chwały jednak Mercadantego, do upowszechnienia jego utworów, do uczynienia jego nazwiska europejskiem, brakowało sankcji Paryża. Tymczasem wszystkie jego utwory prawie, przedstawione w téj stolicy upadły. Dwa narody o jednych i tych samych utworach sztuki, dwa sprzeczne wypowiadały zdania. Dyrekcja jednakże teatru włoskiego w Paryżu, postanowiła obronić sławę swojego ziomka, i pomimo niepowodzenia i znakomitych kosztów, postanowiła przedstawiać utwory Mercadantego jedne po drugich. Siła woli stojąca przy prawdzie, cuda zrobić może. Wytrwałość dyrekcji zyskała nadgrodę, bo nareszcie przedstawiona opera w Paryżu pod tytułem Eleonora w miesiącu Styczniu r. b. a przed tego mistrza napisana, zyskała ogólnie najlepsze przyjęcie i uniknęła losu swoich koleżanek, wyrażonego przez jedno złowieszcze słowo *upadła*. Od téj więc chwili nazwisko Mercadantego pozyska niewątpliwie popularność europejską, i dla téj to przyczyny, postanowiłem zaznajomić bliżéj publiczność polską z osobą samego kompozytora i jego utworem.

Z życia Mercadantego powiem tylko tyle, ze urodził się w małéj mieścinie w byłem królestwie Neapolitańskiem w r. 1798. W dwunastym roku życia zapisanym był jako uczeń w konserwatorjum w Neapolu. W czasie swéj młodości objawił tak mało talentu twórczego, że Zingarelli dyrektor zabronił mu wyraźnie nauki kompozycji, jako przedmiotu zupełnie dla niego niepożytecznego. W roku 1818 po raz pierwszy przedstawioną była w Neapolu w teatrze wielkim, jego opera pod tytułem: l'Apoteose d'Encole a wkrótce w pierwszorzędnych teatrach w Rzymie, w Wenecji i Neapolu odegrane były znakomite jego utwory.

W ciągu lat dwóch od roku 1821 do 1823 napisał pięć oper.

Niezmordowana praca kilkonastoletnia była powodem nader ciężkiéj choroby oczu, któréj podległ Mercadante w roku 1839. Pomimo usilnych starań lekarskich, mistrz włoski utracił prawe oko. W czasie choroby téj nie mogąc pisać własnoręcznie swych utworów, dyktował je sekretarzowi i tym sposobem utworzoną została opera pod tytułem: Due illustre Rivoli, która znalazła wielkie powodzenie w Wenecji.

Że Mercadante we Włoszech ma sławę wielkiego kompozytora, to nie ulega najmniejszéj wątpliwości, dla czego zaś nie znalazł uznania w Paryżu, to okoliczność tę tłomaczy w następujący sposób jeden z krytyków paryzkich.

Dwóch znakomitych kompozytorów włoskich Mercadante i Pacini, pomimo wszelkich usiłowań nie pozyskali uznania w Paryżu. Przyczyny tego szukać należy w owych dziwactwach natury, która dary swe w całéj pełni wydzielone Rossiniemu, rozdzieliła pomiędzy dwóch powyżéj wymienionych kompozytorów. Paciniego obdarzyła bujną fantazją, natchnieniem i łatwością melodji, która przechodzi prawie w mimowolne tworzenie; Mercadantemu zaś wydzieliła w darze, możność nabycia głębokiéj nauki, wielki talent układu, umiejętność skorzystania ze wszelkich skarbów orkiestry i niewyczerpane sposoby kontrapunktu."

Określenie to wydaje się tak trafnem, że ze swéj strony niedołożę ani jednego słowa do określenia rodzaju talentu Mercadantego. Przechodziemy teraz do jego opery Eleonory.

W utworach tego rodzaju treść sama powinnaby być rzeczą podrzędną i niknąć w obec rozwiniętego bogactwa tonów. Dotychczas jednak w operach ważną rolę odgrywa, bo jest tłem na którem kompozytor dzierga swoje natchnienie. Treść Eleonory zaczerpniętą jest z owéj słynnéj ballady Bürgera: Hurra! umarli biegną prędko. Ballada ta dała dwom autorom, francuzkiemu i niemieckiemu, przedmiot do napisania dramatów, pomimo tego ballada odżyła raz jeszcze w operze znakomitego mistrza, a któż może zaręczyć czy jeszcze nie zjawi się raz w nowéj formie? Treść ballady i zmiany porobione w treści opery, charakteryzują bardzo wybitnie dwa narody: włoski i niemiecki. Przypomnę w kilku słowach treść utworu pana Bürgera. Kochanek odjeżdżający na wojnę, przyrzeka swéj narzeczonéj, że żywy lub umarły powróci do niéj na oznaczony termin. Wśród bojów ginie, termin nadchodzi, umarły nie chce przełamać słowa, które dał swéj najdroższéj, i na koniu wśród grzmotu piorunów,pędzi na oznaczone miejsce. Treść ta bardzo prosta podniesiona jest siłą talentu do najwyższego stopnia. Opowiadana anegdota w Niemczech, najlepszym może być dowodem wielkiego talentu z jakim ten utwór był napisanym. Rzecz się tak miała. W towarzystwie licznem, przeważnie jednak złożonem z kobiet, pan Bürger na ogólną prośbę deklamował swoją balladę, *Hura! umarli biegną szybko*. Opowiadanie miłości dwojga kochanków tak czystéj, tak rzewnéj a tak głębokiéj, wzruszyło bardzo słuchaczy. Przysięga wykonana przez odjeżdżającego narzeczonego, jest jakby zapowiedzeniem okropnych scen, wzbudzając w umysłach słuchaczy pewne przerażenie i trwogę. Nareszcie nadchodzi straszna chwila naznaczona do powrotu. Eleonora opłakuje zgon swojego kochanka i z pewną radością słucha strasznego świstu wichru, ryku uraganu i grzmotu piorunów,które oznaczają cóś niezwykłego i straszną walkę żywiołów. Wśród grzmotów i błyskawic, zdaleka dochodzi tentent galopującego konia! To on.... to umarły... biegnie na miejsce oznaczone przedśmiertną umową.... Eleonora wyciągnęła ręce, ku téj stronie, wołając z boleścią. Oh! pójdź mój jedyny i zabierz z sobą nieszczęśliwą twoją kochankę! Zaledwie wymówiła te słowa, kiedy silnie zastukano do drzwi. Imaginacja obecnych tak była wzburzoną, że wszyscy z przerażeniem porwali się ze swoich miejsc, kobiety krzyknęły wystraszone, jedna z nich zemdlała, a któryś z rycerzy fanfaronów wyskoczył oknem. Poeta nie zważa zupełnie na ogólną trwogę, żyje cały w swym utworze który go porywa w uroczą krainę natchnienia, i dla tego ani na chwilę nie przestaje deklamować. Umarły więc porywa swoją narzeczoną,następuje opowiadanie strasznego biegu konia, który wymija wichry że burze i samo wyobrażenie tego strasznego pędu, może spowo-

dować zawrót głowy. Iskry sypią się z kopyt rumaka który więcéj unosi się po nad ziemię, niż biegnie, puchacze, sowy i kruki kraczą przeraźliwie, umysł Eleonory ogarnia trwoga, bo ciałem związana jest z ziemią. Puść mnie, puść mój jedyny! szepcze starając się naprożno ująć dłoń swojego kochanka, który jest tylko widmem, ale ten odpowiada śmiechem złowieszczym, wołając: Hura! umarli biegną prędko!

Z takiego to rodzaju ballady ułożono libretto do opery włoskiéj. Należało jednak porobić zmiany, odpowiednio do gustu i harakteru ludu włoskiego.

(d. c. n.)

Pogadanka Tygodniowa

Warszawa na Czerwiec i Lipiec, zawsze w godowe przystraja się szaty, odnawia, czyści, brukuje, porządkuje ogrody, urządza loterje fantowe i obok rzeczy godnych widzenia i słyszenia ściąga różnych spekulantów i wydrwigroszów, umiejących doskonale zastawiać łapki na ciekawość ludzką.

Pomijając wyborną orkiestrę Bilzego, która dla amatorstwa naszego muzycznego nie małe położyła zasługi, wykonywaniem arcydzieł klasycznych przedtem mało komu znanych, mamy obecnie cyrk Blenowa, posiadający konie bez tresunku, amazonki bez urody i komików bez dowcipu. W ogrodzie zwanym Majznera co święto pukają fajerwerki, błyszczą illuminacje, a codziennie dzwięczą tony wcale niezłéj orkiestry. W zakładzie Szulca, berlińskie towarzystwo śpiewaków zabawia widzów śpiewami i scenami komicznemi, a w ogrodzie domu Cyprysińskich, daje codziennie przedstawienia podobne towarzystwo francuzkie, wyższe jednak od pierwszego pod każdym względem. Że też to u nas ani orkiestra zebrać się nie może, ani utworzyć kółko polskich ogródkowych artystów. Byłaby to nowość, prawdziwa niespodzianka, za jakie Warszawa zwykle grubo płaci.

Zapowiadają nadto przybycie sławnego siłacza Rappo z gronem skoczków i gimnastyków: karłów *azteków* z niezręcznie przyczepioną bajeczką ich pochodzenia, jakoby bogów wykradzionych z nieznanego dotąd miasta i przebąkują coś o amerykańskich kuglarzach zwanych *medja*, których dziwy nie bardzo jakoś zadziwiły zarówno w Londynie jak w Paryżu.

Kończy się także uporządkowanie wirydarza na Krakowskiem Przedmieściu, który nie wiem dla czego nazywają z angielska *skwerem*, chociaż na podobne ogródki, oddawna własną nazwę posiadamy. Wprawdzie, jak powiada Linde, *wirydarz* pochodzi z łacińskiego *viridarium* sad, ogród, płonnik, ale zmieniony według miejscowego obyczaju w powszechnem był użyciu, i oznaczał zawsze ogródki małe, w których ziółka albo drzewa, chociaż też i oboje *rostą* wsadzone, aby zielonością swoją ludziom czynili lubość i rozkosz. Że zaś co innego był ogród a co innego *wirydarz* najlepiéj świadczą przytoczone wyrażenia w Lindem, użyte przez dawnych naszych pisarzy. Powiadali np.—miejsce wirydarzami i ogrodami zasadzone, tak że wszystko gajowi podobne.—Albo: w ogrodzie może być uczynion rozkoszny wirydarzyk, to jest, siadanie pańskie osobne. Wirydarz zatem nie był ogrodem, ale wyraźnie miejscem przygotowanem na ogrodowy sposób, ale bez ogrodzenia, skoro go w ogrodzie radzono urządzać. Zasadzony więc plac po rozebranych budowlach na Krakowskiem Przedmieściu, wybornie zwać się może i powinien wirydarzem, bo czujemy to wszyscy dobrze, że nazwisko ogrodu jest mu niewłaściwe.

Przegląd tygodniowy pana Wiślickiego od dość znacznego czasu, zajmuje się z wielką gorliwością kwestją niezależności kobiet. W ostatnim numerze znajduje się dziesiąty z porządku artykuł, poświęcony temu ważnemu przedmiotowi, radzący poświęcenie się kobiet zawodowi kupieckiemu, na większą niż dotąd rozwiniętemu skalę. Myślom przedstawionym dotąd przyklaskujemy całem sercem, jako niezmiernie zbawiennym.

Jeżeli bowiem młode panienki, kształcić się będą od dziecka, nie dla nabrania tylko szyku, poloru, talentów, aby późniéj niemi umieć się podobać i przez oczy męzkie wciskać się do ich serca, ale dla zdobycia chlebodajnego w świecie stanowiska, któreby im w każdym razie byt niezależny zapewniało, to tym sposobem każda, pracą umiejętną zyskując stały dochód, stanie się panienką posażną za jakiemi teraźniejsza młodzież tak chciwie się ugania. Snadniéj przez to kojarzone stadła małżeńskie, w zachodach około utrzymania domu zarówno pracujące, nie tylko łatwiéj opierać się będą wszelkim nieprzyjaznym wypadkom losu, ale nawet we wspólnéj pracy, staraniach i zabiegu znajdą nowe ogniwa, miłości, przyjaźni i szacunku. Społeczność więc pod względem moralnym niezmiernie wiele zyska, a mężczyźni parci ze wszystkich stron, może nabiorą na świat poglądu więcéj poważnego nie zakłóconego mamidełkami wiotkiéj jak puch wyobraźni.

Szpilkowata ta uwaga może kogoś rozgniewać, ale czytając od czasu do czasu pojawiające się drukowane wystąpienia to kawalerów starego pieczywa, to zadraśniętych w miłości własnéj, to kodeksa postępowania widzów przy grze w karty w resursach, to wreszcie jakieś przymówki i wymówki przy *beziku* czyli bziku robione przez siwych młokosowi..... dziwić wcale nie powinna.

Jeżeli Czytelniczki moje, nie zapomniały dowcipnéj odpowiedzi chłopca, usprawiedliwiającego podniesioną przez niego cenę piasku z dziesięciu groszy na piętnaście, podskoczeniem w górę kurantu pruskiego, to zmuszony jestem prosić o zapisanie w pamięci, że wiadomość o tem wziąłem nie z Kurjera Codziennego jak to mylnie pomieściłem, ale z Kurjera Warszawskiego z N. 109.

Jest to wprawdzie bardzo drobnostkowa sprawa, ale słuszność sprostowania wymagała.

O UBIORACH

Oprócz paletocików i szalików, które w tym roku coraz więcéj zaczynają się upowszechniać, widzieliśmy jeszcze w magazynie pani Kwiatkowskiéj śliczne okrycia koronkowe w rozmaitym guście.

Między innemi odznaczał się piękny płaszczyk koronkowy czarny zwany: *Africaine* karczek u niego, zarówno jak i przody, podłożone materją kolorową, reszta zostawiona klarownie bez podbicia. Inny płaszczyk zwany *Carick* przybrany nie wielką pelerynką sięgającą do stanu.

Wielki burnus *Trianon*, z karczkiem na materji, ma podszytą brzegiem wstążkę kolorową, szeroką blisko na ćwierć łokcia z tyłu spadają sznury jedwabne z kwastami.

Burnus *Vatteau*, ma karczek czworograniasty podłożony także materją. Burnus *Pompadour* z karczkiem podbitym bokami zaokrąglonemi, przeszywany jest z pod spodu wstążką kolorową w odstępach, która tworzy podłużne pasy na całym burnusie. Beduina z kapturkiem *Algerienne* za całą ozdobę ma wielkie kwasty czarne angorowe. Cena tych okryć wynosi od 40 do 60 rs. są one z koronki Cambray i lamy z téj ostatni w czarnym i białym kolorze.

Ładne też bardzo paletociki z koronki czarnéj wełnianéj, jedne puszczone są wolno, drugie mogą być z wierzchu przepasane paskiem. Niektóre brzegiem podszywają wstążką kolorową, tak żeby wstążka wypadła pod szlakiem koronkowym.

Prześlicznie wyglądał paletocik w pasy, złożone ze wstawki *kluny* i z aksamitki czarnéj zwany *Recamier.* Po bokach oznaczone były kieszonki.

Uważaliśmy także ładne kaftaniczki do pokoju czarne z koronki wełnianéj i białe z koronki kluny. Są takież same z imitacji kluny, tańsze nierównie od prawdziwych.

Dla starszych osób używane powszechnie wielkie mantyle z podwójnym lub pojedynczym wolantem i przedłużonemi z przodu końcami, lub wielkie peleryny koronkowe czyli rotondy. Cena tych ostatnich od 20 do 30 rs.

Zasługują również na wzmiankę śliczne garnitury z koronki kluny złożone z kołnierzyka i mankietów. od 6 do 12 rs, oraz koszulki i szelki pokryte wstawką kluny które tu szczegółowo opiszemy.

Odznaczał się zupełnie świeżym gustem, kołnierzyk dosyć duży, zszywany z wstawek kluny i muszlinowych haftowanych, z zębem z tyłu, i dwoma długiemi zębami na przodzie. Z tyłu spadały dosyć długo dwie wstawki podwleczone aksamitką czarną, zakończone kwastami z koronki kluny; dwa takież końce spadały od przodu.

Podobała nam się bardzo koszulka muszlinowa w zupełnie nowym rodzaju. Karczek miała w ząb, przeplatany wstążką niebieską i kwadracikami kluny. Obciskał ją w stanie pasek niebieski zakończony rozetą ze wstążki i koronki. U rękawów był mankiet w ząb takiż sam jak karczek, złożony ze wstążki i kwadracików. U szyi szło obszycie z koroneczki.

Inne bluzki muszlinowe w zakładki wykrojone były u szyi kwadratowo, przybrane pukielkami z wąziutkiéj aksamitki czarnéj lub ubrane wstążką niebieską, przepinaną listewką w zęby.

Na suknie letnie zalecamy czytelniczkom naszym śliczne muszliny kolorowe z odpasowanemi szlakami lub też na łokcie od 4 do 5 zł. Wymieniemy tu niektóre. Muszlin koloru habrowego w wielki rzut biały. Muszlin zielony trawiasty w rzucane kwadraciki *losange* białe z czarnym. Biały w szerokie pasy złożone z kwiatów różnobarwnych. Biały w czarne szerokie pasy, przy tych pasach rzucane gwoździki kolorowe. Biały w szafirowe pasy, przy pasach czarne rozety. Biały w szafirowe pasy z desenikiem naśladującym koronkę kluni lub łańcuch *Benoiton.* Odznaczał się także pięknym gustem muszlinek szary w białe pasy. U dołu spódnicy odpasowany szlak

szary z czarnym brzegiem. Do tego idzie paletocik odpowiednio odpasowany. Koszulka biała muszlinowa drukowana w czarny deseń. Muszlinowe takie spódniczki z paletocikami są w rozmaitych kolorach: lila, niebieskie, zielone i t. p.

Wspomniemy jeszcze o ładnych kapeluszach z magazynu panien Kuhnke.

Pamela ze słomy przepasana grubo skręconą białą gazą; z lewego boku spadał szeroki koniec, obszyty czarną koronką na trzy palce. Podpięcie składało się z podobnie skręconéj gazy, i z bukieciku róż bez liści wpiętych z boku, bukiecik ten zachodził na wierzch ronda. Po bokach spadały szerokie szarfy z białéj gazy, przepięte pod brodą jedną różą. Kokarda z białéj wstążki z długiemi końcami, wpięta z tyłu, dopełniała ubrania. Rodzaj ten pameli zupełnie oryginalny, zowie się *Lamballe.*

Inna prześliczna pamela gładka krepowa biała, przybrana była z boku węzłem z wązkiéj wstążki różowéj, naszytéj raz koło razu białemi perełkami. Podpięcie składało się z pliski różowéj, przybranéj perełkami w tenże sposób. Nad pliską szła ruszka illuzjowa. Z boku pod kapeluszem wpięty był bukiet z róż przechodzący nad rondo, pokryty jakby mgłą marabutami. Po bokach spadały szarfy illuzjowe przepięte pod brodą broszą z białych pereł. Z tyłu spadały białe perłowe grelotki. Łańcuch Benoiton, z dwóch rzędów małych pereł dopełniał ubrania. Po bokach przy twarzy szła ruszka illuzjowa.

Pamela różowa krepowa, naszyta była cała raz koło razu wązką ruszką illuzjową w drobne fałdki. Dwie szarfy do wiązania ogarnirowane były w koło ruszką illuzjową. Nad czołem szła także ruszka na wstążce. Z boku nizko przy samej twarzy wpięta mała różyczka, ślicznie dopełniała podpięcia. Druga różyczka trochę większa wpięta była na wierzchu z przeciwnéj strony. Łańcuch Bénoiton z kryształowych pereł ładnie odpowiadał całości.

Kapelusz biały łyczkowy, w kształcie fanszonika, miał na samym wierzchu wpięty płaski bukiet z białéj konwalji, któréj gałązki rozchodziły się do koła. Przez wierzch zarzucona była barbka blondynowa z końcami. Drugie szarfy białe służyły do wiązania. Ruszka z białéj illuzji, na rulonie aksamitnym czarnym, stanowiła podpięcie; ozdobione z boku różyczką. Łańcuch Bénoiton, z białéj konwalji, dopełniał całości.

Oprócz tych strojnych kapeluszy, widzieliśmy też wielki dobór słomkowych, i włosiannych, białych lub mięszanych z czarnem. Niektóre z nich przybrane łańcuchem Bénoiton ze słomy—inne włosianne, bardzo lekkie, naszyte kryształowemi perełkami. Forma w tych kapelusikach rozmaita; każdy może wybrać odpowiedni do gustu lub do wieku.

Do najmodniejszych wstążek należą kolorowe z czarnym brzegiem, na którym rzucane są chrabąszcze, motyle albo kwiaty. Ładne też są wstążki w rzucik z powojów. Ze środka każdego kwiatu, wychodzi długi kwaścik z delikatnéj słomki. Modne są także wstążki z brzegiem, jakby powleczonym koronką białą kluni. Co do kolorów na kapelusze, najwięcéj używany: biały, blado różowy, lilla i czarny. Z kwiatów najmodniejsze fijołki, róże, konwalje i narcyzy. Kłosy słomkowe bardzo też są używane.

Nowości zagraniczne.

Musée des familles. Suknie ciągle się krają w rodzaju *Empire.* Spódnica prawie gładko przystaje do bioder, bardzo powłóczysta z tyłu.

Na ubrania do wód, kąpieli morskich lub wiejskich wycieczek, widzieliśmy mnóstwo pięknych towarów modnych na tegoroczne lato. Magazyny zaopatrzone są także w gotowe już ubrania. Wszystkie niemal spódnice podniesione są na spódniczkach, zdobnie i odpowiednio przybranych. Paletoty zastępuje pasek z karoczkiem. Pasek taki przypięty do gładkiego stanika wybornie imituje paletot do figury, a dwa są użytki ze sukni.

Na suknie te używają materjałów pod nazwą: *sultane, macao, pintade* i t. d. widać także wiele fularów i *fil de chevrès.*

Macao jest to rodzaj bogatego wyrobu, wełnianego lub jedwabnego, bywa gładki lub w pasy. Gładki ma zupełnie połysk i miękkość atłasu.

Pintade materja *chinée* bardzo lekka właściwa na upały. Dla młodych panienek *toile i fil de chèvres* w pasy ładnie wygląda, jak również *sultane chinée* jakby w linje nót, popielate na popielatem dobre i lekkie stanowi ubranie. Jest jeszcze jeden wyrób bardzo upowszechniony *Dande,* jest to materja *chinée* wełniana w atłasowe pasy lub *toile d'acier* także w atłasowe wązkie paseczki.

Pomiędzy strojniejszemi sukniami, jako największą nowość pokazywano nam suknie *à disposition.* Dół każdego brytu obhaftowany jest bogato sznelą lub słomą, nadto na przednim brycie haft się odwraca do góry, tworząc dwie kolumny. Stanik, epolety, dół rękawów i kieszenie tym samym haftem ozdobione.

Z jedwabnych materji noszą wiele *toile japonaise* lub materją *Blidah* zwaną. Robią z nich całe ubrania, które w obecnéj porze najwyszukańsze elegantki zadowolnić mogą.

Materja mieniona popielata z czarnem piękną i w dobrym guście wizytową suknią utworzy, jeżeli ją przybierzemy, na staniku i rękawach *kwiatami Giberville* z białéj i czarnéj koronki. Kwiaty *Giberville* jest to rodzaj pasmanterji koronkowéj, imitującéj nie tylko kształtem lecz i świetną barwą naturalne kwiaty. Wybornie się podobno czyści i pierze.

Jest to nowość tegorocznego pomysłu lecz, ceną ogromną nieprzystępną jest dla wszystkich.

Zdobią nią wszystko co tylko ozdoby potrzebuje, suknie, parasoliki, krawatki, szarfy, okrycia, kaftaniczki, kołnierzyki i t. d.

Na zakończenie opiszemy jeszcze parę ubrań wizytowych. Suknia *poult de soie* zielona koloru (*vert nouveau).* Spódnica płaska z boków, bardzo z tyłu długa i szeroka, zdobna z jednego boku skośną plisą z materji jaśniéjszéj barwy, która dochodząc do dołu całą tylną część spódnicy otacza. Plisa ta zakończona jest z jednéj strony wązką falbaneczką, z drugiéj

zaś bardzo piękną choć niezbyt szeroką gipiurką naszyta.

Stanik z wykładem z jaśniejszéj materji, wykrojono owalnie i ozdobiono falbaneczką. Rękawy wązkie odpowiednio przybrano. Pod stanik szła gipiurowa biała szmizetka. Druga toaleta świeża i lekka niepospolitym gustem zwracała uwagę. Była to suknia z lekkiéj różowéj materji jedwabnéj, u dołu z szeroką falbaną, w połowie z muszlinu, a w połowie z gipiury. Pasek różowy przybrany był takimże wolantem imitującym paletotowe poły. Staniczek różowy jedwabny do gorsu z krótkiemi rękawkami; pod spód szła szmizetka gipiurowa z długiemi rękawami. Elegancka ta letnia toaleta, może służyć na objad proszony, lub tym podobne zebranie, wymagające strojnego ubrania.

Paski z baskinami imitujące poły paletota nazywają: *péplume.*

Opis wzorów sukien, staników i ubiorków na głowę.

N. 1. Stanik z jedwabnego lub wełnianego wyrobu naszyty aksamitką. Spódnica gładka objęta u dołu rulonem aksamitnym.

N. 2. Stanik z popielatéj popeliny ubrany skosami jedwabnemi z czarnéj materji i potrzebami szmuklerskiemi. Pasek rypsowy ze srebrną klamerką. Spódnica gładka obszyta u dołu grubym sznurem.

N. 3. Suknia z fularu niewarowego z takimże gorsecikiem i paskiem, u dołu podpięta na klapki. Bluzka biała muszlinowa uszyta w zakładki lub ze wstawką haftowaną. Szalik fularowy z materjału sukni.

N. 4. Stanik z szarego moheru, naszyty skosami z orzechowéj materji w kształcie kaftanika.

N. 5. Suknia jedwabna przybrana galonem szmuklerskim. Dół i przedni bryt spódnicy naszyte galonem w rodzaju tuniki.

N. 6. Suknia jedwabna lub z bareżu *lenos* z wyciętym stanikiem. Stanik może mieć rękawy długie albo tylko epolety. Bluzka muszlinowa z płóciennym kołnierzem i mankietami.

N. 7. Ubiorek z czarnego aksamitu i aksamitki.

N. 8. Czółko z czarnego aksamitu. Naszycie może być z białych woskowych, kryształowych lub czarnych pereł i takichże grelotek.

N. 9. Suknia z fijołkowego fularu z takimże paletocikiem, podpięta rozetami ze wstążki odpowiedniego koloru. Spódniczka lub szlak, naśladujący spódniczkę z tegoż fularu co suknia, garnirowany falbanką wyciętą w zęby. Kapelusz ze słomy brukselskiéj, opasany aksamitką czarną Welon z fijołkowéj krepy.

N. 10. Suknia z szamoa fularu lub alpagi. Paletocik ubrany czarną aksamitką, wstawką koronkową i kwaścikami jedwabnemi. Kapelusz z lilla krepy.

N. 11. Suknia z alpagi lub bareżu mozambique, wycięta u dołu w zęby *en créneaux*, objęte skośną pliską jedwabną przystebnowaną w maszynie. Paletocik jedwabny ubrany pasmanterją. Kapelusz biały tiulowy przystrojony fijołkami.

N. 12. Suknia z szafirowéj popeliny, naszyta u dołu szmuklerskiemi ozdobami, w blizkich odstępach. Paletocik z popielatego korciku z kapturkiem. Kapelusz słomkowy, przybrany wstążką tegoż koloru z czarnym brzegiem.

Sposób smarzenia agrestu.

Zbiera się agrest przed dojrzeniem, wydrylowawszy kładzie się w naczynie mosiężne, warstwę agrestu i warstwę kłosów zielonych jęczmiennych i liści wiśniowych grubo pokrajanych — tak się układa do zapełnienia naczynia. Każdą warstwę soląc zalać wódką, nakryć pokrywą, ciastem oblepić i w piec po chlebie na godzinę wstawić. Potem wyjąć agrest do zimnéj rzecznéj wody, moczyć go dni kilka zmieniając często wodę. Zrobić syropu z półfunta cukru, na funt owocu i nim zalewa się odcedzony agrest. Zalewanie to powtarza się trzy razy, czwartego dnia dodać troch cukru do syropu, wysmarzyć do należytéj gęstości, wrzucić weń agrest i zagotować. Kto lubi dodać może wanilji lub cytryny i łyżkę dobrego araku.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz ze wzorami sukien, staników i ubiorków na głowę.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek).

№ 169. TYGODNIK MÓD
w Warszawie



№ 1. Stanik naszyty wązkiemi aksamitkami

№ 2. Stanik wełniany, ubrany skosami jedwabnemi i potrzebami szmuklerskiemi.

№ 3. Gorsecik jedwabny z bluzką muślinową.

№ 4. Stanik szary wełniany naszyty skosami jedwabnemi, w kształcie kaftanika.

№ 5. Suknia jedwabna ubrana galonem szmuklerskim.

№ 6. Stanik jedwabny wycięty, szmizetka muślinowa

№ 7. Ubiorek z czarnego aksamitu.

№ 8. Ubiorek z czarnego aksamitu, pereł i grelotek.

№ 9. Suknia z liljowego gładkiego fularu z takimże paletocikiem.

№ 10. Suknia z szamoa fularu z paletocikiem.

№ 11. Paletot z czarnej materyi gros-grains. Suknia alpagowa.

№ 12. Paletocik z popielatego kortu z kapturkiem.

Dodatek do Nr. 24 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 4 (16) Czerwca 1866 r.

PAMIĘTNIK MŁODEJ MĘŻATKI

PRZEZ

WIKTORA CHERBULIEZ

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg.)

Chwilami byłam prawie szczęśliwa, widząc iż cierpi rzeczywiście nad moją lodowatą obojętnością; był to początek méj zemsty; ale najczęściéj niecierpliwiły mnie jego słodycz i pokora; chciałabym była zmusić go do zdjęcia maski, aby nowa jakaś niesprawiedliwość, przykre słówko lub bezzasadna zaczepka, rozproszyły moją niepewność, wyświeciły tajemne jego pobudki. Ziarno było rzucone i oczekiwało tylko sposobnéj do wzejścia chwili, liczyłam na to, że lada chwila gniew zawładnie mojem sercem, zmusi je do stanowienia o tem czego sądzić nie śmiało i przyśpieszy rozwiązanie swego przeznaczenia.

I w tragedji znajdzie się komiczna strona. Max miał kamerdynera duszą i ciałem oddanego sobie, który podzielał wszelkie jego wstręty i upodobania, wystawiał sobie, że przyjmuje udział we wszystkich jego przygodach, prostodusznie brał na swoje sumienie grzechy swego pana, i mówiąc o nim byłby chętnie mówił „my“ jak ów posługacz kościelny który po ukończonem kazaniu wołał: „Miły Boże! jakże piękne powiedzieliśmy kazanie!“ Kilka miesięcy temu, Baptysta miał zawsze w mojéj obecności minę człowieka zupełnie pewnego siebie, wyraz jego twarzy mówił wyraźnie: „Pani gniewa się na nas, ale się przeprosi;“ jakaż to zmiana od czasu obecnego powrotu: chodził na końcach palców, cichy, pokorny, skruszony, żałujący za swe winy, a niekiedy spoglądał na mnie z niemym i zarazem pełnym uszanowania wyrzutem, jakby chciał powiedzieć: Jesteś pani za nadto sroga i mściwa, długoż jeszcze tak będzie?...

W tydzień po przybyciu Maxa odebrałam z poczty list od pana Dolfin; pobiegłam do swego pokoju, aby go przeczytać. Drżącą ręką łamałam pieczątkę, tak lękałam się aby list ten nie zawierał czegoś coby mnie mogło obrazić lub oziembić. Są rośliny egzotyczne tak delikatne i czułe, że uprawa ich najtroskliwszych wymaga starań, najmniejszy chłód może je zniweczyć i zabić; wkrótce jednak uspokoiłam się zupełnie. W całym liście nie było ani jednego słówka, któreby mi się niepodobać mogło: główną jego treścią było niegraniczone poświęcenie, miłość osłaniała zię najgłębszym szacunkiem. Wiadomość o powrocie pana de Lestang niewysłowionym dręczyła go niepokojem, zraniona wyobraźnia z łatwością chwyta i żywi się niedorzecznością; jakkolwiek najtroskliwiéj ukrywana, mimowolnie jednak zazdrość przebijała w jego liście, i mimowolny uśmiech przywołała na me usta. Pan Dolfin kończył temi słowy: „Godziny upływają a ja cierpię i tęsknię, potrafię jednak być posłusznym i panować nad sobą. Tajemny jakiś głos mówi mi, że nadejdzie chwila w któréj będę mógł być pani użytecznym, i odtąd życie wydaje mi się pięknem: mam nadzieję, wierzę i czekam.“

List ten wprawił mnie w głęboką, zadumę; cóż to za niewysłowiona szczerość duszy! Byłam wzruszona, niespokojna, głowa mi płonęła, wyszłam na galerję i zbliżyłam się do statui Nemezys. Od dawna pierwszy to raz z przyjemnością patrzyłam na nią. Zdawało mi się, żem ją zapoznała, że surowość jéj nie stosowała się do mnie: była ona prawdziwym obrazem sprawiedliwości niebios, przeczuwałam więc w niéj przyjaciółkę tajemnie dopomagającą méj zemście. On nadużył, mówiłam jéj w myśli, kiedysz ugodziesz?..

Usiadłam, zdawało mi się, że tu będę bezpieczna; od owéj chwili Max nie postał w galerji, i teraz zapewnie nie zechce spotykać się ze mną w tem zbyt wymownem miejscu. Na w pół leżąc na kozetce, zatonęłam w głębokiem rozmyślaniu; przeczuwałam że miało mnie spotkać coś nieprzewidzianego, że umysł mój i życie, niepojęym trawione niepokojem, w nową wejdą fazę. Zastanowiłam się nad nad dziwnem zrządzeniem losu, który sprowadził w okolice Lestang'u, jedynego człowieka który mógł jakieś na mem sercu uczynić wrażenie. Salonowiec, elegant, bohater romansowy, nie byłby nigdy pokonał méj zimnéj obojętności, bo wiedziałam dobrze, że wśród podobnych sobie Max nie ma równego; ale pan Dolfin różnił się od wszystkich, było w nim coś niezwyczajnego i dziwnego zarazem. Jego postać cierpiąca, wielkie smętne i tak pełne ognia oczy, umysł miotany burzą i niczemnieskalana czystość serca przejrzystego jak kryształ, wszystko to razem stanowiło całkiem odrębnego człowieka; nie wiem czy miałam gorączkę, ale chwilami spoglądałam na statuę, jakby szukając w jéj martwych oczach, przyzwolenia na me tajemne myśli.

Nagle drzwi się otworzyły, i usłyszałam głos Maxa, wydającego jakieś rozkazy kamerdynerowi, poczem wszedł do galerji i zbliżał się ku mnie. W tak dziwnem rozprzężeniu umysłu nie chciałam narażać się na nudy rozmowy, nie mogłam odejść, aby nie myślał że uciekam z obawy, może i ciekawość nakazywała mi zostać i zobaczyć co zrobi, udałam więc

śpiącą. Nie uszło pięć minut, kiedy niewysłowione jakieś przerażenie zmusiło mnie do otwarcia oczu; zdawało mi się, że straszne jakieś grozi mi niebezpieczeństwo. Podniosłam głowę i spotkałam wejrzenie Maxa. Stał po za statuą pochylony ku mnie; a w twarzy jego malował się taki bezład, tak straszna i dzika wściekłość, że nie byłam w stanie powstrzymać krzyku przerażenia. W jednéj chwili zapanował nad sobą, przybrał zwykły wyraz twarzy, i z niskim ukłonem przeprosił że zakłócił mój spoczynek; jednak zamiast odejść skrzyżował ręce na piersiach, zbliżył się i patrzył na mnie spokojnie; zdawał się chcieć korzystać z przewagi jaką mu nadawał mój przestrach... O! jakże zła byłam na siebie; złorzeczyłam méj śmiesznéj słabości i postanowiłam podwoić jeszcze wyniosłą oziembłość.

— Zszedłem kapłankę uśpioną u stóp swego bożyszcza, rzekł z uśmiechem.

— Co to ma znaczyć? zapytałam sucho.

— Że Nemezys jest jedynem bóstwem pani, odpowiedział, i że pragnąłbym szczerze abyś inne, nie tak srogie wybrać sobie raczyła. Doprawdy bierze mnie chętka odesłać do Louveau tę starożytną boginię zemsty; zbłądziłem bardzo zabierając ją p. de Loanne. Czy nie pozwolisz mi pani postawić w jéj miejscu statuę Matki Bozkiéj Łaskawéj?...

— Tak rzeczywiście bardzo nie czułe mam serce, nie zdołały mnie wzruszyć trzy miesiące tak ostréj pokuty..

— Racz pani pamiętać, rzekł, że grzeszyłem tylko intencją, a nie jest jeszcze dowiedzione że intencja równa się uczynkowi.

— Ach! znowu wracamy do téj historji, dobrze więc, kiedy tak pan chcesz koniecznie, ale zastrzegam sobie żeby to było po raz ostatni. Tak więc, pewnéj nocy, odbyłeś pan niewinną przechadzkę przy świetle księżyca; ja na mocy pewnych papierów, których zapewnie nie zrozumiałam, wyobraziłam sobie zupełnie co innego; wtedy byłam tak śmieszną, iż kochałam lub przynajmniéj zdawało mi się że kocham pana, i o mało nie oszalałam z boleści. W tem pan powracasz spokojny i niewinny, dziś jeszcze doskonale przypominam to sobie, cała ta scena odbyła się w końcu téj galerji. Więc tedy pan powracasz, ja rzucam się ku niemu z wyrzutem i gniewem, pan widząc moją boleść ulitowałeś się nad młodą niedoświadczoną kobietą, i wyraźnie pamiętam, upadłeś mi do nóg wołając: Przebacz, przysięgam ci że się mylisz, jestem niewinnym!

— Nie, nie uczyniłem tego, i źle zrobiłem; ale bynajmniéj nie przedstawiam się za chodzącą doskonałość.

— Lecz przynajmniéj nazajutrz....

— Ani nazajutrz; powodem mego milczenia była uporczywa pycha któréj dziś sam nie rozumiem, oraz dziwna jakaś ciekawość, któréj tem więcéj pojąć już nawet nie mogę. Przez dwa miesiące czekałem sam nie wiem na co, badałem i starałem się poznać ciebie.

— Ach! strzeż się pan, odpowiedziałam; matka moja która czytywała Quinault'a, powtarzała nie raz:

......Dając nam zbyt czułe serce,
Niebo daje nam dar zbyt drogi i zbyt niebezpieczny....

— Jednakowoż, mówił daléj spokojnie, jeśli się nie mylę, pewnego wieczora ukląkłem przed panią, i powiedziałem....

— Tysiące ślicznych rzeczy, na które odpowiedziałam: „zapóźno, mój panie!....." Wtedy pośpieszyłeś pan zagrzebać się w samotności.... Biedne czułe serca, gdzież to nie poprowadzi ich namiętność!....

Odstąpił pare kroków, i rzekł opierając się o filar: ach! cóż pani wiesz o ostatnim moim pobycie w Paryżu?...

— Racz pan wierzyć że bynajmniéj nie pytałam o to.... jednak doszły mnie wieści o nadzwyczajnych powodzeniach i tryumfach....

— Tryumfach!.. przerwał mi, lekko wzruszając ramionami. Daję słowo honoru że źle panią zawiadomiono. W rzeczywistości, wyjechałem stąd nadzwyczaj zły na panią i na siebie, i chcąc zamścić się zarazem nad panią i nad sobą, rzuciłem się w świat łatwych uciech i rozkoszy, w którym nigdy nie miałem upodobania. O! bądź pani przekonaną sże dla pewnych charakterów nie ma może cięż zéj kary. Gniew i złość podtrzymywały mnie czas jakiś, lecz wkrótce wstręt i znużenie przeważyły szalę. Spełniłem kielich do dna, i zdaje mi się że dotąd jeszcze czuję niesmak na ustach... Błagam panią chciéj mnie zrozumieć....

— Zrozumieć pana! przerwałam z goryczą. Dziwne doprawdy żądanie!.... A zresztą, zdaje mi się, że jak na światowego człowieka, za zbyt tragicznie zapatrujesz się pan na swe małe przygody. Omyliłeś się i koniec, na przyszłość lepiéj wybierać będziesz.

— Westchnął i rzekł patrząc na statuę: Jakże nieubłaganą w swéj niechęci, jak podobną jesteś do niéj!...

— Nie ma tu ani niechęci ani nieubłaganego gniewu, odpowiedziałam, tylko najzupełniejsza obojętność.

— Mam nadzieję że nie jest to ostatnie słowo, rzekł, i ukłoniwszy się wyszedł z galerji.

Tak więc zmusiłam nieprzyjaciela do odwrotu i zostałam panem placu: jednak zwycięztwo to nie bardzo mnie zadowolniało. Wyrzucałam sobie ów niedorzeczny przystęp obawy, pewną cierpkość tonu mowy któréj powściągnąć nie umiałam, gniewałam się że za żywo mówiłam o swéj obojętności, słowem że nie umiałam właściwym przemawiać głosem: kiedyż nareszcie będę mogła być spokojną i zimno pogardliwą? Teraz przynajmniéj bardzo mi jeszcze było do tego daleko. Zwierzenia Maxa oburzyły mnie niewymownie, wszystka krew zawrzała we mnie, a jednak skutkiem niepojętéj jakiéjś słabości, któréj sama się wstydziłam, gotowa byłam uwielbiać tę szczerość jego co mnie tak oburzała.

Wyszłam przejść się po parku chcąc ochłonąć ze wzruszenia, potrzebowałam rozerwać się i na inny przedmiot zwrócić moje myśli. Wyjęłam list pana Dolfin, ale między tym papierem a mną stała teraz postać Maxa wspartego o piedestał statui, z wlepionym we mnie obłąkanym wzrokiem. Wstrząsnęłam głową aby odpędzić natrętną postać i przypominałam sobie Arsena (z umysłu co chwila powtarzałam to imie) klęczącego przedemną i oczekującego méj odpowiedzi; lecz w tejże saméj chwili pytałam znów siebie: Skądże to uniesienie wściekłości czy szaleństwa? co znaczy to dzikie, obłąkane spojrzenie? byłże to gniew despoty którego moja obojętność i opór popchnęły do ostateczności, czy rozpacz człowieka widzącego że życie jego chybione, przyszłość stracona, i dziś zostaje mu tylko szamotać się z nieodwo-

łalną przyszłością? Miałżeby do mnie żal że go zawiodły jego namiętności? czyż moja wina że nie udało mu się być szczęśliwym moim kosztem? że w pośród rozkiełzanych nierządów niesmak schwycił go za gardło, i że w nagrodę wszystkich świetnych tryumfów, pozostały mu skalane usta, zużyte serce i brzemię nudów którego podźwignąć nie może? Czegoż nareszcie chce odemnie? jaką gotuje mi przyszłość? i cokolkowiek bądź nim miota, wściekłość, nienawiść czy szaleństwo, cóż z tego wyniknie dla mnie?

Aby odpędzić te myśli gwałtem cisnące się do głowy, poszłam do gaiku dębowego, w którym pierwszy raz ujrzałam pana Dolfin; zdało mi się że w tem miejscu uświęconem wspomnieniem, będę spokojną i wolną, jak czarnoksiężnik stojący w zaczarowanem, laseczką swoją zakreślonem kole, którego żadne widma przekroczyć się nie poważą. Wchodząc do gaju, nad wszelkie spodziewanie zobaczyłam pana Dolfin siedzącego u stóp drzewa; postrzegłszy mnie zerwał się i pobiegł ku mnie. Jakże to trudno wiedzieć czego serce nasze chce lub nie chce! przyszłam szukać wspomnienia, znalazłam rzeczywistość i niemiłego doznałam wrażenia. Byłażby to obawa żeby ktoś nie zobaczył nas razem? ależ ta część parku nie lękała się ciekawych, a szczególniéj w téj porze roku nikt tu nigdy nie przechodził nawet. Zresztą byłam na wszystko przygotowana, i spokojnie przewidywałam pewne następstwa. Jednak rozgniewałam się mocno; chciałam myśleć o nim, a nie podobało mi się że go widzę; zdało mi się że obecność jego zawadzała mojéj wyobraźni, obcinała jéj skrzydła, w ciasnem zamykała kółku. Są chwile w których dusza nasza potrzebuje, że tak powiem, całéj przestrzeni by mogła oddychać; tylko zatopiona w nieokreślonych marzeniach czuje się swobodną, ścisłe zaś oznaczenie wartości tego co kocha przejmuje ją jakby zgrozą i przerażeniem.

Powitałam go z lodowatą surowością, wyrzucałam ostro że nie dotrzymywał swych przyrzeczeń i nie zważał na moje rozkazy. Przyrzekł czekać mego wezwania i chełpił się nieprzebraną cierpliwością, a jednak narzucał mi swą obecność? Powiedziałam że nienawidzę wszystkiego co zakrawa na zamysł ułożony z góry, na rozmyślne narzucanie mi swéj obecności; że w najgorszym razie przekładałam despotyzm nienawiści nad prześladowania miłości, i że gdyby ktoś mnie kochał i pragnął pozyskać moje zaufanie, musiałby przedewszystkiem szanować moją wolność.

Słuchał mnie w milczeniu, w pokornéj postawie winowajcy; zbladł, i taki wyraz boleści odbił się w jego twarzy, iż uczułam że zarzuty moje były zbyt ostre i przesadzone, że popełniłam grzech właściwy cierpiącym, to jest skazywałam innych na cierpienie. Uśmiechnęłam się więc i podałam mu rękę, wtedy dopiero znalazł siłę przemówienia w swéj obronie.

— Czyż tak wielką popełniłem zbrodnię? zapytał. Powstajesz pani na moją słabość, słuchaj więc i sądź czy umiem być posłusznym i panować nad sobą. Przed kilku dniami szłaś pani sama drożyną prowadzącą do Berry, ukryty w krzakach widziałem cię nadchodzącą, ale serce twoje milczało, nie powiedziało ci że jestem tak blisko. Postąpiłem krok naprzód by pobiedz do pani, ale zastanowiłem się zaraz, odwróciłem głowę, powstrzymałem oddech, i pani przeszłaś a jam w przeciwną poszedł stronę. Czyż będziesz pani jeszcze zarzucać mi słabość?

Nazajutrz przechadzałem się około Reauville, miałem na sobie suknie wieśniacze, które przywdziewam niekiedy pracując około ziemi, bo czasami pomagam poczciwemu memu gospodarzowi uprawiać jego ogródek; praca ta uspokaja i rozrywa mnie nieco, kopiąc, zdaje mi się że przygotowywam grób dla pogrzebania myśli moich. W tem postrzegłem uciekającą psinę, a zaraz za nią zadyszanego goniącego ją mężczyznę. Poznałem go od razu, bo widziałem go raz przed sześciu miesiącami, a to aż nadto by rysy jego niestartym rylcem wyryły się w méj pamięci. Zawołał na mnie, wtedy wściekłość mnie ogarnęła i pobiegłem ku niemu z zaciśniętemi pięściami, z drgającemi usty, aby go znieważyć i wywołać kłótnię— a jednak po chwili zbliżyłem się doń pokornie, z kapeluszem w ręku i zapytałem kłaniając się: „Co pan margrabia rozkaże? I potrafiłem przyćmić blask moich oczu, który go zadziwiał.... Czyż jeszcze będziesz pani mówić, że nie mam mocy nad sobą?... Suczka zatrzymała się o pare set kroków i patrzyła na niego jakby drwiąc i wyzywając; ja zaczaiłem się w wskazanem mi miejscu, a on póty manewrował dopókąd nie napędził jéj ku mnie; złapałem wkrótce zmęczoną psinę i oddałem mu; ucieszony chciał mi dać sztukę złota której przyjęcia odmówiłem z bezprzykładną pokorą, i rzekł mi: Mój poczciwcze, zdaje mi się, że nie z tych stron pochodzisz, może potrzebujesz roboty, jakież jest twoje zajęcie? — Odpowiedziałem mu, że jestem ogrodnikiem. Wtenczas powiedział mi, że właśnie ogrodnik jego potrzebuje pomocnika, i zapytał czybym nie przyjął tego miejsca. W głowie mi się zawróciło; i powiedz pani, czy miałabyś serce potępić mnie gdybym był przyjął ofiarowane mi miejsce? Żyć obok ciebie, u drzwi twoich, wejść do twoich usług, pracować dla ciebie, pielęgnować kwiaty które lubisz, mieć prawo patrzeć i mówić do ciebie w każdéj chwili, słyszeć w około odgłos twoich kroków i twego życia....... o! zdało mi się, że raj niebieski otwiera się przedemną... a jednak odmówiłem i odszedłem. Czyż będziesz mi pani jeszcze wyrzucać, że nie dotrzymuje słowa?

Nie dość na tem odchodząc mówiłem sobie: „Ja to odszukałem i złapałem psinę, a on ją odprowadzi, i może za moje trudy, on wdzięczny uśmiech odbierze w nagrodę! I opanowała mnie gorączka, i całą noc oka nie zamknąłem; przez następne dwa dni ciągle pisałem do pani szalone listy, które paliłem następnie, i przyznaj pani sama czy w tym który posłałem nareszcie, było aby jedno słówko zakrawające na skargę lub pytanie?.... I obecnie czyż tak bardzo zawiniłem przychodząc tu zwiedzić miejsce w którem pierwszy raz cię ujrzałem? Bóg mi świadkiem iż nie żywiłem zuchwałéj nadziei ujrzenia ciebie; ale wszystkie te drzewa to przyjaciele twoi, one cię znają, pojmują, a nawet powietrze którem się tu oddycha zdaje się mówić o tobie. Ach! prawda, przyznaję że przyszedłszy tu popełniłem szaleństwo; właśnie z miejsca na którem pani stoisz, porwałem w dłonie garść piasku i namiętnie do ust przycisnąłem; i nie pojmuję jaki płomień gorzał pod tym popiołem, dość że dusza moja zapłonęła ogniem, i uczułem w sercu tak wielką odwagę i siłę, że śmiało wyzywam do walki boleść i cierpienia....

— Pocóż mówisz mi pan rzeczy na które odpowiedzieć nie mogę? Staraj się uspokoić i być rozsądnym, nie lubię szałów, bo są zawsze przelotne i nietrwałe.

— O! to pewna, rzekł uderzając się ręką w czoło, w głowie mojéj jest zapas szału na najdłuższe wystarczający życie.

Po chwili dodał: Pamiętam, że w młodocianych latach mieszały się w umyśle moim rozmaite baśnie i legendy o świętych. Jakże to szczęśliwi byli ci rycerze dawnych czasów, którym damy ich nakazywały tak trudne próby; musieli zdobywać wyspy i zabijać olbrzymów, wdzierać się do zaczarowanych zamków, i wyzwalać zaklęte księżniczki. Przynajmniéj biegając tak po drogach i puszczach, hartując ostrze swéj stali i myśląc o sposobach wywiązania się z swego zadania, mogli zapomnieć o swoich troskach i cierpieniach.... Ale nie módz nic robić i nic mówić, czekać i czekać, stać nieruchomie na jednem miejscu z założonemi rękami, i nigdy nie być duszą gdzie jesteśmy ciałem, liczyć godziny i patrzeć jak czas upływa smutnie spoglądając na nas — i jak pies ogryzający kość rzuconą, karmić się tajemnie nędzną, próżnię zdradzającą nadzieją, któréj jutro już może jak najdroższego skarbu żałować nam przyjdzie — o! to straszna męczarnia!....

— Staraj się pan wyleczyć z tego, rzekłam.

Gniewnem poruszeniem zamknął mi usta.

— Kiedyż nareszcie będziesz pani mieć mi co do rozkazania?

— Nie wiem, odpowiedziałam.

— O rozumiem panią! odpowiedział; serce twoje to sfinx prawdziwy; ależ czy przynajmniéj starasz się odgadnąć jego tajemnicę?

— Czekam dopókąd samo mi jéj nie powierzy.

Milczał przez chwilę.

— Ach! chętnie poddaję się cierpieniu, rzekł wreszcie posępnym głosem, ależ przynajmniéj nie odmawiaj mi pani swéj pomocy; pozwól mi pisywać do siebie i przyrzecz że choć raz jeden mi odpowiesz.

Zaczęłam przekładać, że nie wiedziałabym nawet jak mu list mój przesłać. Wtedy wskazał mi palcem na spruchniały pień dębowy, i rzekł rozrzewniony:

— Jakże dobrze możnaby list tam ukryć; późnym wieczorem, około północy przychodziłbym go wyjąć.

Odpowiedziałam mu ni to ni owo. Krew uderzyła mu do głowy i rzekł spoglądając na mnie iskrzącemi oczyma:

— Siły moje na trzy dni wystarczą, czwartego przyjdę szukać tu mojego skarbu.

I zaczem mogłam mu przeszkodzić upadł przedemną na kolana, składając ręce jak przed madonną.

Zaczęłam znowu porównywać z sobą w myśli tych dwóch ludzi od których obecnie zależało moje życie: „Jeden, trawiony jedyną myślą, wzrosł obcy namiętnościom..... czara rozkoszy stała przed nim nie tknięta, zaledwie brzegów jéj dotknął ustami. i jedna kropla wystarczyła aby go upoić.... Drugi wychylił ją do dna, i męty go dławiły.

XXI.

Tegoż samego dnia wieczorem Max pojechał na polowanie na wilki. Rozeszła się pogłoska, że niepojętym wypadkiem, dwa wilki pojawiły się w dolinie, że widziano ich około Taulignan i że wieśniacy zakładali obławę. Rozpowiadano o spustoszonych owczarniach i pożeranych dzieciach; w południe mówiono o dwojgu, wieczorem liczba ich wzrosła do pięciu; szczęściem pokazało się pierwéj, że wszystko to było bajką. W braku lwów, poluje się na wilki. W obecnem usposobieniu umysłu Max nie pominął téj sposobności aby się rozerwać i zagłuszyć, obecnie higiena jego opierała się na téj zasadzie: utrudzaj ciało, uspokoisz duszę.

Powrócił dopiero na trzeci dzień, około południa. W brew zwykłym swoim eleganckim nawyknieniom, wszedł do salonu w myśliwskiem ubraniu, ma się rozumieć dość zaniedbany, jak człowiek co dwie nocy spędził w boru pod gołem niebem. Przyjemności polowania nie rozjaśniły jego czoła, był pochmurniejszy jeszcze niż przed wyjazdem, brwi jego ściągnęły się i najeżyły. Wszedłszy do salonu dziwne jakieś rzucił na mnie wejrzenie, i siadając w fotelu zaczął odczytywać trzymany w ręku papier, który mu właśnie oddano.

— No jakże, zapytałam, przywiozłeś pan upolowane wilki?

— Myślę, że musiały to być dwa zające, odpowiedział sucho.

Wstał oparł się o kominek, i tak stał z skrzyżowanemi na piersiach rękami i nieruchomem wejrzeniem, jak człowiek w głębokiéj pogrążon zadumie. Postrzegłszy, że zwróciłam na niego uwagę, wyciągnął z pochwy swój nóż myśliwski, i zaczął machinalnie oglądać ostrze, nareszcie rzucił go na kominek, wyjął z pugilaresu zgnieciony papier, który tamże włożył przed chwilą i zbliżył się do mnie aby mi pokazać; już miał mi go podać, gdy nagle rozmyślił się, zawrócił i wyszedł trzasnąwszy drzwiami. W kwandrans później zobaczyłam go na tarasie; podano mu konia, wskoczył nań, spiął ostrogą i poleciał galopem.

Nie powrócił na obiad. Cały wieczór sama spędziłam w salonie; wybiła dziewiąta, już miałam wstać i przejść do siebie, gdy posłyszałam w sieni kroki Maxa; nie wiem już co mi powiedział wchodząc, ale głos jego był przerywany, na ustach osiadł szyderski uśmiech. Nie był to już syn marnotrawny, ale ów Max dawniéjszy, i nie gniewałam się o to, wiedziałam przynajmniéj z kim mam do czynienia.

— Czy lubisz pani wiersze, zapytał siadając przy mnie.

— Jeśli dobre, odpowiedziałam.

— Trzeba być wyrozumiałym dla domorosłych talentów, odpowiedział. Wzgórze Chamaret'u nie jest Parnasem. Otóż utwór jaki miejscowe muzy podyktowały, komuś co pani nie jest zupełnie obcym.

(d. c. n.)